



Mirosław Derecki

## ŚRODOWISKO LUBELSKIE (2).

### ŻYCIE KLUBOWE I TOWARZYSKIE

Późną jesienią 1955 r. przestąpiłem po raz pierwszy w życiu próg pewnego lokalu, mieszczącego się w secesyjnej oficynie domu przy ulicy Krakowskie Przedmieście 32 w Lublinie; z miejscem tym miałem się następnie związać, jako bywalec, na długie lata. Chodzi, oczywiście, o klub stowarzyszeń twórczych „Nora”, wówczas zwany po prostu Klubem. Choć placówka ta miała być przybytkiem kulturalnym dziennikarzy, radiowców i księgarzy, to jednak prowadziła szeroką działalność środowiskową, goszcząc zyczliwie również lubelskich literatów, artystów aktorów i muzyków. O kartę wstępu do Klubu było wszak niełatwo, a prawo wejścia do wnętrza sprawdzano przy drzwiach w sposób rygorystyczny.

Znalazłem się w Klubie za sprawą opiekunki studenckiego Zespołu Dramatycznego UMCS, aktorki lubelskiego teatru Jadwigi Grossman, która w pewnym momencie doszła do wniosku, że jej podopieczni powinni zaznajomić się i miejscowym „światem artystycznym”.

Pamiętam dobrze ten sobotni wieczór, kiedy zemocjonowani weszliśmy do Klubu. Była to wielka sala, której sufit podparto na środku grubym kamiennym słupem. Z sufitu zwisały dwa ogromne porcelanowe żyrandole á la Pałac Kultury, na ścianach rozwieszono makaty tłumiące hałas. Wisiało też sporo obrazów olejnych, dziewiętnastowiecznych pejzaży, oprawnych w grube złoczone ramy. Możliwe, że były to obrazy wypożyczone z pałacu w Kozłowie. Salę zastawiono głębokimi, wygodnymi fotelami obitymi ciemno-wiśniowym pluszem.

Wszystko to zrobiło na nas piorunujące wrażenie. Po prymitywie ówczesnych domów akademickich, po smrodliwej atmosferze studenckich stołówek, było to wnętrze zachwycające, godnie prezentujące się jako miejsce wytchnienia „inżynierów dusz ludzkich” jak w owych latach propaganda zwykła była określać artystów.

Pod przeciwległą ścianą siedziało przy winie i kawie jakieś starsze towarzystwo, kilka pań i panów. Wyróżniał się wśród nich potężną posturą oraz tubalnym głosem mężczyzna o sympatycznej, mięsistej twarzy, opowiadający niekończące się anegdoty, „Ach, ten Bielski! -

westchnęła z lekką przyganą pani Wisia. - Bezustannie musi zwracać na siebie uwagę, bez tego nie może żyć!”.

Nie jestem do końca przekonany, czy Konrad Bielski chciał koniecznie zwracać na siebie uwagę otoczenia; on był po prostu p o s t a c i ą, na którą nie można było nie zwrócić uwagi - tak to oceniam po wielu latach późniejszej z nim znajomości. „Kondzio” niewątpliwie czuł się doskonale w Klubie przy Krakowskim Przedmieściu 32; był to wszak dawny lokal słynnej przedwojennej restauracji „Pod Strzechą”, gdzie on - smakosz i wielbiciel mocnych trunków - zjadł niejedno danie i wychylił niejedną kielich. Wtedy to, za czasów „Strzechy”, wokół filara podtrzymującego sufit urządzona była sadzawka, w której ku uciechu gości pływały żywe karpie (wskazanego karpia kelner wyławiał specjalną siecią i odnosił do kuchni dla usmażenia); na estradzie w głębi lokalu produkowały się szansonistki i baletniczki a na górnych piętrach budynku znajdowały się przytulne, dyskretne „gabinety”...

Teraz wszakże Konrad Bielski był człowiekiem dojrzałym, godnym, działającym „w kulturze”. Na chleb powszedni zarabiał jako doskonały adwokat-karnik, ducha sycił literaturą i poezją, którą uprawiał na łamach „Kamena”, pasje społecznikowskie zaspokajał piastując funkcję dziekana lubelskiej wojewódzkiej Izby Adwokackiej oraz jako przewodniczący Wojewódzkiej Komisji Kultury. Zawsze przecież potrafił nagle zmienić się do niepoznania, zrobić „perskie oko” do całego świata - był znowu przez chwilę dawnym, trochę nieobliczalnym młodzieńcem, autorem przewrotnego i obrazoburczego „Dytyrambu szatańskiego”...

W swym społecznikowskim i publicystycznym wcieleniu Bielski pisywał „kulturotwórcze” wstępniaki do miesięcznika „Kamena”.

(Od 1955 r. „Kamena” stała się z kwartalnika miesięcznikiem była już teraz drukowana nie w Warszawie, ale w Lubelskich Zakładach Graficznych przy ulicy Buczka 12. Jednak wciąż borykała się z trudnościami, „miesięcznik” wychodził w numerach, podwójnych lub nawet potrójnych). W jednym z takich wstępniaków (w numerze 1-2 z 1955 r.), zatytułowanym „Czarna mapa musi być czerwona”, Konrad Bielski stwierdził m.in.: „Nie ulega wątpliwości że zaniedbania w pracy kulturalnej są bardzo duże, a na terenie naszego województwa szczególnie dotkliwe. Lublin, pierwsza stolica Polski Ludowej i siedziba Rządu, który powołał do życia Ministerstwo Kultury i Sztuki, w pierwszych latach po wyzwoleniu niewielkimi osiągnięciami w tej dziedzinie może się poszczycić, a w latach następnych dał się znacznie wyprzedzić wielu połaciom naszego kraju”.

Ale kto z nas, dwudziestolatków, myślał wówczas, w okresie zbliżającego się karnawału, o tak poważnych sprawach? Tym bardziej, że w Klubie przy Krakowskim Przedmieściu pieniło się i skrzyło życie towarzyskie, na skalę nigdzie indziej w Lublinie nie spotykana...

W pierwszej połowie lat pięćdziesiątych studenci na ogół do kawiarni ani na dancingi nie chodzili. Po pierwsze - było to bardzo źle widziane przez organizację młodzieżową (jako hołdowanie „zachodniemu stylowi życia”), po drugie - przez władze uczelni, (jako niepotrzebne trwanie czasu przeznaczonego na naukę), po trzecie wreszcie - z tej przyczyny, że studenci ledwie wiązali finansowo koniec z końcem. Na pierwszym roku studiów otrzymywałem 210 zł stypendium. Mogłem za to opłacić pełne - niesmaczne i niskokaloryczne - wyżywienie w stołówce studenckiej i zostawało mi jeszcze trochę na papierosy. W tych warunkach wypicie kawy w kawiarni równało się ruinie finansowej. Autentyczną zgrozą przejmował nas pewien kolega z roku, którego na zebraniu zetempowskim ktoś oskarżył o sobotnie wypadki do restauracji „Powszechna” na dancingi połączone ze spożywaniem kotletów schabowych i domagał się kategorycznie złożenia samokrytyki. Burżuj, lowelas i utracjusz!

Życie towarzyskie przeciętnego studenta realizowało się na urządzanych raz w tygodniu „holówkach”, czyli potańcówkach odbywających się - najczęściej przy dźwiękach adapteru – w wąskich i długich hallach domów akademickich przy ul. Langiewicza 17. Tłok i ścisk na „holówkach” panował niesamowity. Nie tyle tam tańczono, ile klejono się jak najściślej do siebie. W zadymionej atmosferze „wieczorku tanecznego” unosił się spotniały, nabrzmiały wrywającą się z więzów młodzieńczą biologią - Eros. Mało kto tam kogo „podrywał”, „ugadywał”, „przygajał”, nikt nikogo nie trudił się „poznawać” w celu kontynuowania znajomości. Na to były inne okazje. „Holówki” były usankcjonowanymi pseudo-starciami dwojga płci, jakimś seksualnymi ćwierćśrodkami, bo „na więcej” zresztą nie pozwalało absolutnie ówczesne rozumienie „moralności socjalistycznej”.

Bardziej oficjalnie, towarzysko i odświętnie chodziło się na „zabawy studenckie”, prowadząc tam sympatię lub po prostu koleżankę, z którą się było „stańczonym”. Na tych zabawach przygrywały studenckie zespoły muzyczne - zespół Akademii Medycznej lub w czasach późniejszych - założony przez Jacka Abramowicza „Bemol” albo dixielandowy zespół Pawła Falkiewicza, Witolda Mischczaka, czy też - na KUL-u - grupa Macieja Elerta. Pod koniec lat pięćdziesiątych pojawiła się na niektórych większych zabawach ściągane aż z centralnych ośrodków studenckich zespoły tej miary co grupa Andrzeja Kurylewicza, zespół Tadeusza Zabieglńskiego z warszawskiej „Stodoły” albo „Drażek i pięciu” z Łodzi. Ale to było później. Na początku lat pięćdziesiątych na zabawach organizowanych w Sali Marchlewskiego Collegium Iuridicum przy Placu Litewskim, w sali „Agrobiologii” przy ul. Króla Leszczyńskiego oraz w tzw. Auli Staszica - na pierwszym piętrze gimnazjum im. St. Staszica przy Alejach Racławickich (część tego gmachu była zajęta i użytkowana przez

UMCS) grywali nieraz nawet zawodowi „klezmerzy” - akordeon, trąbka, perkusja - występujący na co dzień w lubelskich knajpach.

W Klubie przy Krakowskim Przedmieściu bawiono się na zasadzie: „kultura bolszaja”. Na sobotnie wieczorki taneczne przychodziło towarzystwo odsztafirowane na ostatni guzik. Ale gdy pojawiły się gromadnie aktorki i plastyczki zaczęto pomału ich wzorem ubierać się bardziej malowniczo. A i rytmy muzyczne na początku roku 1956 stawały się żywsze, idąc zresztą w parze z nasilającą się coraz bardziej „odwilżą”. Klub smakował jak owoc zakazany, bo tutaj przymykano już oko na mambę, sambę, boogie-woogie, po czas gdy „na mieście” lub na zabawach studenckich lepiej się jeszcze było z tymi tańcami nie wychylać. Zrzucaliśmy w końcu nasze maturalne granatowe garnitury „kort-tenis” w biały prążek, mimo ostrej krytyki na uczelni zwężaliśmy spodnie, oraz wkładaliśmy do tańca kolorowe trykotowe koszulki, w których lżej i wygodniej było tańczyć to, co nakazywała moda.

Niebawem wybuchł rock-and-roll. Objawił się Elvis Presley... w Klubie przy Krakowskim Przedmieściu tańczyło się rocka z figurami, do ostatniego tchu. Figury rocka były nieraz niebezpieczne, więc tańczono zwykle ze stałymi partnerkami, dobrze „zgranymi”. Trzeba było mieć do rock-and-rolła zdrowe płuca, serce jak dzwon i stalowe nogi. Trenowałem wówczas szermierkę w AZS-ie, toteż na ogół wytrzymywałem kondycyjnie...

Ale życie w Klubie nie ograniczało się do wieczorków tanecznych. Szczególnie od czasu, kiedy prezesem zarządu została lubelska dziennikarka Wiera Korneluk, zaczęło się tutaj roić od imprez kulturalnych - wystaw plastycznych, wieczorów literackich zwanych „wieczorami przy świecach”, dyskusji teatralnych i filmowych, wieczorów wspomnień... Nigdy nie zapomnę jednego z takich spotkań, podczas którego Konrad Bielski i Wacław Gralewski mówili o przedwojennych lubelskich szopkach satyrycznych, których byli autorami, wspominali dawne tutejsze środowisko literackie, Czechowicza. Arnsztajnową, pisma „Lucifer” i „Reflektor”, sięgali wspomnieniami do Chełma, gdzie Kazimierz Andrzej Jaworski wydawał poetycką „Kamenę”. Siedzieliśmy zasłuchani i zupełnie urzeczeni, odkrywano nam oto zupełnie nowe światy. Poprzednie lata sprawiły, że my, studenci, niejednokrotnie nawet słuchacze kierunków filologicznych, byliśmy niedouczeni, zapóźnieni jeśli chodzi o wiedzę na temat kierunków i prądów artystycznych, straszliwie nieoczytani i nieopatrzeni na sztukę.

Klub przyjął wtedy swoją późniejszą wieloletnią nazwę - „NORA”. Pomysłodawcą był wiceprezes zarządu Witold Wróblewski, pracownik Domu Książki, człowiek w średnim wieku, przystojny, kulturalny. Mówiono o nim, że przed wojną służył w II Oddziale Sztabu Generalnego w stopniu majora. Tworzyło to wokół jego osoby mgiełkę tajemniczości.

Otóż „NORA” stała się „NORA” po pierwsze - ze względu na to, że właśnie wówczas teatr lubelski wystawiał słynną sztukę Ibsena pod tym tytułem, po drugiej - dlatego, że nazwa kojarzyła się z „pieczarą”, „piwnicą”, a więc czymś bardzo „artystycznym”, wreszcie - ponieważ Wróblewski twierdził, że jest to skrót od wymyślonej przez niego lecz przydługiej nazwy: klub Nieustających Organizatorów Rozpoczynających Ab ovo.

Przez „Norę” w ciągu trzydziestu lat jej działalności przewinęło się wielu kierowników, a o takich jak Krystyna Chełkowska, Władysław Grzyb czy Jacek Abramowicz można napisać osobne wspomnienia. Można by też pisać tomy o ludziach, którzy tutaj przychodzili, o takich, których „Nora” być może nawet wykoleiła, ale także o tych, których wychowała, i w której nabrali impulsu do dalszego artystycznego rozwoju. Na przykład na tutejszej estradzie debiutowali m.in. Piotr Szczepanik, Michał Hochman i Kazimierz Grześkowiak. Nazwiska dwóch pierwszych kojarzą mi się z czasami, kiedy objąłem kierownictwo „Nory”...

W 1962 r., gdy zakończyłem wielomiesięczny gruntowny remont pomieszczeń klubowych, nastawano, aby jak najszybciej urządzić huczne oficjalne otwarcie. Atrakcją wieczoru miał być występ kabaretu „Czart” z programem „strażackim” napisanym przez Kazika Łojana, a zatytułowanym: „Nie pali się”. Aktorzy występowali w pięknych, starych hełmach wypożyczonych od jakiegoś zagubionego na prowincji oddziału straży pożarnej, była nawet „orkiestra strażacka” z autentycznymi mosiężnymi instrumentami. Wszystko szło dobrze do momentu, kiedy Łojan wyszedł na proscenium i zadał w ogromną trąbę. Wówczas - co było oczywiście niezamierzone - z sufitu oderwał się wielki kawał niewyschniętego jeszcze tynku i upadł tuż przed nogami siedzących w pierwszym rzędzie „oficjalnych gości”. Redaktor Stefan Ziemiński, wiceprezes „Nory”, zaczął wtedy krzyczeć przeraźliwie: „Przerwać przedstawienie! Sufit się zawali!”. Ale nikt go na szczęście nie posłuchał.

W tym właśnie programie występował m.in. Piotr Szczepanik, śpiewając napisane przez Łojana i Abramowicza „tango strażackie”, słynną „Rozalię”, która przyniosła mu pierwsze miejsce na dorocznym krakowskim Przeglądzie Piosenkarzy Studenckich. „Rozalia” to był właściwie początek kariery Szczepanika. Śpiewał tę piosenkę ucharakteryzowany na jakiegoś chłopka-roztropka czy półwłóczęgę, w peruce z długimi włosami. Bardzo się to publiczności podobało, Zapytany następnie w wywiadzie telewizyjnym przez zachwyconego nim Jerzego Abratowskiego, w jakim typie piosenki się specjalizuje, odparł natychmiast koniunkturalnie, że - oczywiście - w piosence charakterystycznej. Co było oczywistym bluffem. Bo Piotrek śpiewał jazz. W tym rodzaju jednak nie został zauważony. A jego prawdziwa kariera zaczęła się, gdy „odkrył go” dla swoich „Żółtych kalendarzy” i „Kormoranów” Andrzej Korzyński.

Innym piosenkarzem, który chyba miał przed sobą przyszłość, był Michał Hochman i nieraz cieszyliśmy się i oklaskiwaliśmy go, gdy śpiewał w „Norze” swojego „Konika na biegunach”. Po roku 1968 Michał wraz z całą swą lubelską rodziną wyemigrował do Stanów

Zjednoczonych. Zamieszkali w Nowym Jorku i tam, po kilku tatach, lubelski aktor operetkowy Paweł Wojtczak, przybyły do Stanów z kabaretową grupą PAGARTU, zobaczył na afiszu jego nazwisko. Afisz informował o występach Michała Hochmana - „polskiego Paula Anki” - w jednym z polskich czy też żydowskich klubów. Wojtczak poszedł na ten występ, a później rozmawiał z Michałem, który szczerze się wzruszył i prosił o gorące pozdrowienie wszystkich starych znajomych z klubu „NORA”... Ale kariery piosenkarskiej Michał ostatecznie nie zrobił.

„Ta wasza lubelska „Nora”... - powiedział do mnie kiedyś z rozrzewnieniem prof. Aleksander Jackiewicz. - Tam był zawsze taki straszny bałagan, i taka cudowna atmosfera”. I miał rację.

Pierwodruk: „Kamena”, 1983, nr 3, s. 5, 9.